



Mirosław Derecki

W CZYSTYM PEJZAŻYU AFRYKI

Urodziła się w Danii, w zamożnej rodzinie ziemiańskiej; studiowała rysunek w Akademii Sztuk Pięknych w Kopenhadze; była osobą niezważającą na konwenanse (szczególnie, jeśli chodzi o relacje męsko-damskiej, co na początku naszego wieku wciąż jeszcze wydawało się rzeczą skandaliczną; pierwsze utwory literackie opublikowała mając lat dwadzieścia; gdy miała niespełna lat trzydzieści, wyjechała do Afryki, gdzie kupiła w Kenii farmę i wyszła za mąż za bliźniaczego brata swojego niedawnego kochanka, zostając baronową Blixen-Finecke. Słowem - chodzi o autorkę znanej książki „Pożegnanie z Afryką”, Karen Blixen-Finecke, pisującą pod męskim pseudonimem: Isak Dinesen.

„Pożegnanie z Afryką” ukazało się na półkach księgarskich w 1937 r., kiedy autorka liczyła już pięćdziesiąt dwa lata, i było swoistym odbiciem przeżyć i doświadczeń Karen Blixen z jej osiemnastoletniego pobytu w Kenii, zmagania z tamtejszą przyrodą, tamtejszymi stosunkami i... z samą sobą. Doświadczenia afrykańskie zostały, notabene, zawarte również w innych książkach autorki: w „Listach z Afryki”, „Cieniach wśród traw”...

Zmarła Karen Blixen w bardzo już podeszłym wieku, w 1962 r. (urodziła się w 1885 r., jako Karen Christence), nigdy więcej nie postawiwszy stopy na afrykańskim gruncie. Jej pożegnanie z Afryką w 1931 r., - kiedy to wróciła do Europy - było ostateczne i nieodwołalne.

Nakręcony w 1986 r. przez znanego amerykańskiego reżysera Sidneya Pollacka film „Pożegnanie z Afryką” (z udziałem takich znakomitości aktorskich, jak Meryl Streep, Robert Redford i Klaus Maria Brandauer), film obsypany aż siedmioma „Oscarami”, uhonorowany nagrodami tej miary, co „Złoty Glob” i „David Wark Griffith”, powstał głównie w oparciu o książkę pod tym samym tytułem. Ale także o wspomniane tutaj inne książki Karen Blixen oraz o poświęcone autorce dwie książki biograficzne. Niech więc czytelników wydanego także w Polsce „Pożegnania z Afryką” nie dziwią pewne różnice pomiędzy literackim pierwowzorem a ekranowym efektem filmowej adaptacji tej, (ale nie tylko tej) książki.

Karen Blixen-Finecke spędziła, jak się już rzekło, na swej kenijskiej farmie osiemnaście lat. Autorzy filmu, „skrócili” okres pobytu bohaterki w Afryce do lat dziesięciu.

Na ekranie historia pobytu Karen w Kenii, jej nieudanego pożycia z mężem, Bronom von Blixen-Finecke (Klaus Maria Brandauer), oraz uczuciowego związku z amerykańskim myśliwym organizatorem safari, Denysem Finchem Hattonem (Robert Redford), rozgrywa się pomiędzy rokiem 1913 a 1922. I nie chodziło scenarzyście i reżyserowi filmu „Pożegnanie z Afryką” (tej „romantycznej historii miłości dwojga osób o odmiennych charakterach i spojrzeniu na świat utrzymanej w stylu nostalgicznego poszukiwania atmosfery minionej epoki” - jak słusznie zauważa jeden z krytyków) jedynie o „uwiecznienie” bohaterki filmu w latach, kiedy jest jeszcze atrakcyjna, młoda i piękna. Także o co innego, może dużo ważniejszego: o oddanie nastroju, kolorytu, specyfiki życia w koloniach na przełomie dwóch epok - tej przed i tej zaraz po pierwszej wojnie światowej. Również o uchwycenie momentu przełomu, jaki dokonał się w ciągu zaledwie kilku lat wojny (nie to, że toczącej się na dalekim, europejskim kontynencie) w tutejszej mentalności (zarówno białych, jak i czarnych), w technice, a co za są tym idzie - także w stylu i sposobie życia w afrykańskim buszu.

Gdy Karen (świetna w tej roli Meryl Streep) przybywa w 1913 roku do Nairobi, wyznacznik postępu i europejskiej cywilizacji na tych terenach stanowi wolno sunący przez morze sawanny, niemal zagubiony wśród rozległych afrykańskich przestrzeni - pociąg parowy. Spalinowy samochód jest tu jeszcze dziwem techniki, sprowadzonym z Europy na zasadzie oryginalnego hobby i przegrywającym na bezdrożach z koniem, a jeszcze bardziej... ze słoniem, jako wierzchowcem. Ale wkrótce po wojnie pojawi się nad sawanną pierwszy prywatny samolot. I wtedy zacznie się dopiero prawdziwe ujarzmianie afrykańskiej przestrzeni. A także, co ważniejsze, jej przyrody przez białego człowieka.

Borykająca się z życiem i przyrodą, żyjąca na odległej, pełnej zewsząd czyhających niebezpieczeństw, farmie, rozbudowująca swoją plantację kawy, Karen musiała dotąd, chcąc nie chcąc, dostosować się do reguł życia wynikających z zastanej, wszechobowiązującej, odwiecznej rzeczywistości. Mogła mieć w swym wygodnym kolonialnym domu starą duńską porcelanę i fortepian, ale sposób jej życia był w istocie, niewiele odbiegający od relacji zachodzących pomiędzy przyrodą a żyjącymi w okolicznych wioskach czarnymi tubylcami. Odważny łowca Denys Finch Hatton, chociaż zaopatrzony w nowoczesny sztucer z lunetą, musiał zwierzynę tropić, podchodzić i ponosić ryzyko podobnie jak towarzyszący mu Masajowie uzbrojeni w dzidy.

Dotychczasowa technika: sztucer, patefon, dzięki któremu można w sercu sawanny słuchać Mozarta, lampa naftowa czy nawet parowa lokomobila opalana drewnem, poruszająca niezbyt skomplikowane maszyny na plantacji - ta „technika” jedynie ułatwiała życie białemu człowiekowi, nie przyzwyczajonemu do tutejszych warunków. Teraz pojawił się samolot: biały człowiek zawisnął wysoko, bezpiecznie ponad sawanną, bez trudu sięgając

wzrokiem do samego jej jądra. Już nie będzie dla niego tajemnic. Dojrzy, wysledzi, zabije - silny i nietykalny. Jeszcze trochę, a zaczną się polować na zwierzynę przy pomocy samochodów, wytopiwszy ją wcześniej z samolotu. Jeszcze kilka lat, i pojawi się radio, dzięki któremu będzie można nawiązać kontakt pomiędzy bazą a najdalszym zakątkiem buszu...

I może to właśnie, dlatego Denys Finch Hatton, człowiek, który ukochał wolność i Afrykę taką, jaką poznał, gdy tutaj przybył przed laty, musi zginąć pod szczątkami własnego, niedawno kupionego samolotu. Bo ta maszyna stoi w ewidentnej sprzeczności z całą istotą jego życia, wtopionego w prawdziwe życie sawanny. Z podobnych powodów nigdy nie powróci już do Afryki pisarka Karen Blixen.

Paradoksalnie, właśnie dzięki zdjęciom dokonywanym z samolotu, mógł operator David Watkin w sposób tak niewymownie piękny, tak niezwykły i tak oryginalny ukazać wspaniałość afrykańskiego krajobrazu, jego przestrzeni, istotę afrykańskiej przyrody. Mógł tego, skądinąd, dokonać tylko z pokładu takiej maszyny, jaka płynęła jeszcze w powietrzu jak ptak, a nie pędziła z zawrotną, ślepą szybkością odrzutowca...

Krytycy „Pożegnania z Afryką” mają za złe reżyserowi, a to - że obraz pozbawił „akcentów społecznych”, a to - że nie dostrzegł „duszy czarnego człowieka”, o to - że w Karen nie ma... „nic z naszych siłaczek czy doktorów Judymów. Nie ma nic z Bronisława Malinowskiego, ani nawet Stasia i Nel. Jest tylko dumna Europejka, uzurpująca sobie prawo do zapanowania nad duszą Afryki. I za to spotyka ją kara. Za egoizm i dumę”.

Boże! Czy naprawdę każdy film musi nieść zaraz ze sobą niezaprzeczalne wartości oraz głębie „Pancernika Potiomkina”?! Czy należy zaraz rozliczać Sydneya Pollacka za to, że nie zrobił, jak zazwyczaj filmu „społecznie ambitnego”, „rozliczeniowego” itp.?

A może on, kręcąc ową piękną, o szerokim oddechu opowieść o ludziach i nieskażonej przyrodzie, rozlicza się właśnie z naszym współczesnym światem? Który zatruwa i niszczy czyste powietrze, zieleni, błękit nieba. To wszystko wśród czego człowiek żył i kształtował się od tysięcy lat...

Pierwodruk: „Kamena”, 1988, nr 2, s. 4.